

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Zdarzało mi się narzekać na tych łamach na problemową mizери oraz na intelektualną miałość zagranicznych publikacji (mniej lub bardziej) naukowych, związanych z bibliotekarstwem. Ale — jak się okazuje — może być inaczej. Oto nareszcie udało mi się trafić na teksty rzeczywiście mądre, ciekawe i z pewnością warte przeczytania.

No więc, zwracam uwagę na znakomitą publikację [1] dr Wirginii W a l t e r z Uniwersytetu w Los Angeles, która poza tym przepracowała ponad 20 lat w bibliotekach dla dzieci w tym mieście. Połączenie doświadczenia i głębokiej wiedzy dało doskonały rezultat, a ciekawe refleksje wykraczają poza problemy li tylko bibliotek dla dzieci.

Zdaniem Autorki, najlepsza dla rozwoju bibliotek obsługujących dzieci była pierwsza połowa minionego stulecia; wtedy też ukształtowała się stosowana profesjonalna specjalizacja. Wirginia Walter twierdzi, że to w ogóle pierwsza specjalizacja w bibliotekarstwie, ale chyba nie ma racji; pierwszą była bibliografia. Prawdą jest natomiast, że w ostatnich latach biblioteki dla dzieci nie przeżywają specjalnej hossy, także w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli jest rok ekonomicznie dobry, to środki na działalność są tam dostateczne, ale częściej

nie wystarczają i tak już jest przez szereg lat. Nic dziwnego, że obecnie mało kto chce specjalizować się w zakresie bibliotecznego pracy z dziećmi, toteż pytanie, jak dawna jest to specjalizacja (w Polsce związana z osobą Marii Gurty), nie ma w praktyce znaczenia.

Mimo to biblioteczną ofertę dla dzieci ocenia Autorka jako ważną, łącząc ją przede wszystkim (jednak!) z zasobami książkowymi. Jej zdaniem udało się znaleźć optymalną formułę gromadzenia, balansując pomiędzy kryterium wartości i popularności. W sferze pracy z użytkownikami dokonały się dostrzegalne zmiany: wyraźniej akcentuje się teraz biblioteczne programy wakacyjno-rekreacyjne oraz całoroczną, urozmaiconą ofertę dla dzieci w wieku przedszkolnym. Co przydałoby się i nam.

Natomiast postępująca elektronizacja bibliotek dla dzieci nie wzbudza euforii. Przeciwnie — bibliotekarze narzekają, że oto traci się kontrolę nad tym, co smarkacze oglądają sobie w Internecie. Jest sugestia, że głównie pornosy, ale nie musi to być prawda.

Coraz więcej dzieci ma do czynienia z elektroniką w domu i opanowuje stosowną umiejętność niezależnie od szkoły bądź od biblioteki. To dobrze, natomiast nie może to być kosztem lub zamiast czytania. Tym bardziej, że sieć internetowa oferuje i łączy tylko informacje, natomiast nie przysposabia do myślenia problemowego, które jest nierozzerwalnie związane z czytaniem.

Amerykanie uważają, że dziecko przed pójściem do szkoły powinno opanować sztukę płynnego mówienia, powinno znać litery i jeszcze (co najmniej) być gotowe do nauki czytania. Otóż: często nie jest. I należy dodać, że w Polsce też nie.

Oczywiście, nie ucieknie się od nauki korzystania z Internetu w bibliotekach i do takiej ucieczki nie ma powodu. Tyle że to nie wyczerpuje zakresu oferty. Generalnie dzieci sprawnie uczą się używania komputerów, zwłaszcza chłopcy, natomiast niekoniecznie dla celów informacyjnych. Korzystanie z katalogów elektronicznych zazwyczaj sprawia wiele trudności.

W sumie: trzeba założyć mieszany charakter materiałów bibliotecznych, mianowicie tak elektronicznych, jak i drukowanych. Biblioteka zaś, zwłaszcza dla dzieci, musi być pośrednikiem, mediatorem pomiędzy publicznością a obydwoma rodzajami zasobów.

Według W. Walter takie trzeba przyjąć założenie, aby w konsultacji ze specjalistami opracować koncepcję bibliotekarstwa dla dzieci na przyszłość. Kłopot polega na tym, że nie ma komu takiej koncepcji wypracować. Wyraźnie bowiem brakuje programów kształcenia wyspecjalizowanych bibliotekarzy dla dzieci oraz badań nad funkcjonowaniem bibliotek dla dzieci, a także nad formami skutecznej promocji.

Autorka proponuje oprzeć te koncepcje na wypracowanych przez siebie propozycjach. Zakłada więc, że biblioteki dla dzieci muszą zaspokajać potrzeby zarówno informacyjne, jak i czytelnicze swoich użytkowników, odpowiednio pośrednicząc między nimi a zasobami, ale także dbając o dostosowany dobór materiałów — więc bez całkowitej swobody w tym zakresie. Ponadto przypisuje bibliotekom szczególnie ważną powinność: promocję czytelnictwa. Bibliotekarze natomiast specjalizujący się w zakresie bibliotekarstwa dla dzieci powinni zadbać zarówno o poszanowanie dobrej profesjonalnej tradycji, jak i o wykreowanie przyszłości dla tych bibliotek.

Równie interesująca wydała mi się książka Michaela Gormana [2], skłaniająca do wielu refleksji, choć i kontrowersji też. Jej słabość to nadmierne gadulstwo oraz wszystkoizm: trudno znaleźć zagadnienie przemilczane przez Autora.

Michael Gorman — który gościł był też na tych łamach¹ — pracuje w Bibliotece Uniwersyteckiej stanu Kalifornia. Przedtem pracował w różnych instytucjach bibliograficznych w Anglii. Wydawca przedstawia go jako lumina-rza dyscypliny, co jest niejaką przesadą, ale tekst przeczytać warto, a nawet należy.

Mowa w nim, zresztą nie tylko, o trwałych wartościach zawodu, tym ważniejszych obecnie, kiedy tak wiele się zmienia. Autor uważa, że tradycyjne pojęcie biblioteki nie ma już uzasadnienia, ale nie proponuje nowego. Zatem? Jego zdaniem, bibliotekarz to wykształcony realizator następujących działań: wybierania, przechowywania i udostępniania zbiorów, wspomaganie oraz instruowania użytkowników, jak też zarządzania. Pomijając już, że gdzieś zapodziało się informowanie, nie widzę nic w tym rejestrze, co nie występowało- by i w przeszłości.

Michael Gorman uważa bibliotekarstwo za wiedzę praktyczną, chociaż opartą na przesłankach teoretycznych. To, co jego zdaniem jest w nim najważniejsze, to nastawienie na usługi i na poprawną obsługę publiczności, jak też na lansowanie piśmienności i czytelnictwa oraz na wspieranie edukacji.

Autor jest zdania, że biblioteki przyszłości to biblioteki mieszane — z własnymi zasobami piśmiennictwa oraz z dostępem do Internetu. Według niego, śmieszne są określenia „biblioteka bez ścian” oraz „biblioteka wirtualna”. Podzielając to stanowisko, wolałbym jednak poznać argumenty, tymczasem znajdują tylko zmetaforyzowane odczucia.

Michael Gorman kojarzy pojęcie biblioteki z miejscem i budynkiem, negując sens biblioteki wirtualnej. To miejsce musi zawierać zbiory i stwarzać każdemu szansę skorzystania z sieci oraz mnożyć okazje do spotkań społeczności lokalnych. Z tej konkluzji wywodzi się też refleksja na temat budowania bibliotek, ale o tym plecie Autor głupstwa bądź oczywistości.

Autor formułuje 3 główne przesłanki bibliotekarstwa jako zawodu. Zachowanie dorobku intelektualnego dla kolejnych pokoleń, co mamy czynić wraz z archiwistami, których nazywa schizmatykami z tego samego kościoła. Dobrze przygotowanie zawodowe. No i wreszcie troska o stan i rozwój bibliotek.

W tym sensie dużo zaczyna się od gromadzenia i zachowania zasobów, a więc trafnego wyboru, już to według wartości obiektywnych, bądź według własnego uznania, lub po prostu według możliwości. Ale to właśnie gromadzenie i przechowywanie materiałów decyduje, że nie można ograniczyć się do zasobów elektronicznych.

Narzeka natomiast M. Gorman na fatalne kształcenie kadr. Szkoły bibliotekarskie „gubią” słowo „bibliotekarstwo” (u nas też!), co jest absurdalne, a programy nauczania nie mają z praktyką żadnego związku. Co więcej — idea akredytacji tych programów okazała się w Stanach Zjednoczonych zwyczajną lipą.

Weryfikacja programów nauczania nie ma sensu bez udziału praktyków, bo to jest wszak zawód praktyczny: polega na świadczeniu usług. I właśnie do tego

¹ M. Gorman: *Przyszłość biblioteki akademickiej*. „Prz. Bibl.” 1995 z. 2 s. 147-155.

bibliotekarz musi być wyposażony w stosowną wiedzę, którą potem trzeba uzupełniać w trakcie pracy, stosownie do potrzeb wynikających z rodzaju biblioteki oraz stanowiska pracy.

Autor podnosi ważny problem: czy biblioteka ma prawo ograniczać dostęp do czegokolwiek w imię wartości wyższych? Nadmierny odbiór przekazów głupich ogłupia, dostęp dzieci do materiałów niemoralnych demoralizuje. Ale pojawia się też pytanie o kryteria oraz o tytuł do cenzurowania lub (jeśli kto woli) filtracji. I otóż jasnej odpowiedzi nie ma, poza ogólną sugestią: jak najmniej ograniczeń.

Natomiast jest Autor (słusznie!) zwolennikiem koncepcji bibliotekarstwa aktywnego: trzeba proponować, instruować, wspierać. Także lub zwłaszcza w okresie inwazji elektroniki, która — według autorskiej opinii — w bibliotekach rozpoczęła się w okresie l. 1960-1970.

Jako główny przedmiot tego wspierania oraz instruowania wskazuje M. Gorman naukę czytania — jego zdaniem — konieczną także w bibliotekach. Jest to bowiem umiejętność podstawowa dla logicznego i twórczego myślenia oraz rozumienia świata. Gdyby kiedyś stała się ta umiejętność tylko udziałem elity, byłoby to nieszczęście w skali ogólnospołecznej i trzeba mu zapobiegać na wszelkie sposoby.

Autor, choć Anglik, nie pominął typowo amerykańskich obsesji tematycznych, jakie funkcjonują w piśmiennictwie bibliotekarskim. Nie twierdzą, że to źle, mowa wszak o demokratyzacji, o równym dostępie do bibliotek i zasobów oraz o prywatności danych osobowych.

Michael Gorman słusznie uważa, że powinna obowiązywać zasada równego i możliwie łatwego dostępu do zbiorów oraz do oferty bibliotecznej, zwłaszcza dla celów informacyjnych, intelektualnych i edukacyjnych. To jest pewien ideał, do którego trzeba dążyć. Główne przeszkody to bieda bądź fizyczna niesprawność ludzi, ale bywa też, że zła lokalizacja biblioteki, kiepski personel w bibliotece lub nieumiejętność korzystania z oferty i temu akurat można niekiedy zaradzić.

Autor zwraca też uwagę na ochronę prywatności. Żadne dane o użytkowniku ani o jego zainteresowaniach nie mogą być nikomu ujawniane. Tymczasem tę regułę często naruszamy. Bo przecież oznacza ona też zakaz informowania rodziców, co czytają ich dzieci lub powiadamiania nauczycieli, czym zajmują się ich uczniowie. Idę o zakład, że w bibliotekach szkolnych oraz w bibliotekach dla dzieci nikt tej zasady nie przestrzega.

Według M. Gormana, biblioteki rzeczywiście przestaną istnieć, jeżeli pozwolą na to bibliotekarze. Tymczasem, zamiast szukać rozwiązań trwałych, z lęku przed zarzutem konserwatyzmu zajmujemy się przejściowymi nowinkami. Najpierw był krzyk wokół mikroform, potem obsesyjnie zmieniano nazwy bibliotek na „mediacentra”, a teraz pojawiło się szaleństwo superelektronizacji. Otóż trzeba postępować racjonalnie. Należy korzystać z nowych technik, przejmując co pożyteczne, a oddalając co w nich bezużyteczne. A już na pewno nie wolno dopuścić, żeby społeczeństwa stały się niepiśmienne.

Tak czy inaczej, dla bibliotek wciąż jest mnóstwo zadań, toteż — jak powiada Autor — jeszcze przyjdzie dla nich złota era. Pożyjemy, zobaczymy. A może to prawda. Podzielałam niepokój M. Gormana o rozwój naszej dyscypliny i to nie tylko z powodu rozbratu z praktyką. Powodem równie ważnym jest

dostrzegalne zasklepienie się w obszarze zagadnień wąsko dziedzinowych bez oglądania się na nauki ościenne. Jedyne ostatnio ruch poza granicę dyscypliny to adaptacja do naszych rozważań ujęć kognitywistycznych — szczególnie istotnych dla nauki o informacji — które jednak tymczasem są coraz częściej w innych naukach odrzucane jako zbyt jednostronne. Z tą myślą zwracam uwagę na ciekawą, popartą badaniami rozprawę, której autorami są James K e n n e d y, Russel C. E b e r h a r t oraz Yuhui S h i [3]. Ciekawe, że ich konkluzje są zbieżne z tym, co można wyczytać w rodzimej publikacji Marka Hetmańskiego².

Nie wdając się w szczegóły, perspektywę autorską trzeba określić jako psychologiczno-społeczną. To bowiem z takiego punktu widzenia charakteryzuje się myślenie, informacje i procesy komunikowania. W opozycji do kognitywistów, którzy myślenie uznali za mechanizm czysto wewnętrzny, psychologia społeczna podkreśla jego zewnętrzne, relacyjne aspekty. Otoczenie mianowicie zmienia treść informacji oraz reguły rozumowania. Dlatego właśnie koncepcja sztucznej inteligencji wydaje się mało realna.

Ludzkie myślenie podlega adaptacji według zasady prób i błędów, ulega też rozwojowi oraz innym zmianom. Tymczasem reguły matematyczne są niezienne i takie też muszą być zasady funkcjonowania maszyn cyfrowych. Maszyna Turinga nie jest modelem ludzkiego umysłu, zaś języki komputerowe nie są w niczym podobne do języków ludzkich, nawet jeśli te ostatnie można wpisać do programów komputerowych.

Co z tego wynika? Że ludzkie myślenie nie polega tylko na przetwarzaniu informacji. Że obok informacji istnieje też nieinformacja. Że komunikacji informacyjnej trwale towarzyszy komunikacja nieinformacyjna — artystyczna, literacka itp. Oraz że komunikacja elektroniczna nie jest i nie będzie jedyną formą komunikacji publicznej. Tak długo, jak długo będziemy (my, a nie maszyny) myśleli oraz mówili, przynajmniej pismo musi pozostawać w powszechnym użytku.

Refleksji ta książka wywołuje więcej. Dlatego myślę, że jeśli chce się poważnie uprawiać naukę o bibliotekarstwie (i o informacji), to trzeba koniecznie śledzić, co dzieje się w dyscyplinach ościennych. W tym zwłaszcza w naukach o myśleniu, o poznawaniu oraz o komunikowaniu, które być może roztropnie połączy postawa badawcza o charakterze neokognitywistycznym, jeśli taka nazwa wejdzie kiedyś w obieg.

KSIAŻKI OMÓWIONE

1. Virginia A. W a l t e r: *Children and libraries. Getting it right*. Chicago, London: American Library Association 2001, 155 s.

2. Michael G o r m a n: *Our enduring values. Librarianship in the 21st century*. Chicago, London: American Library Association 2000, 188 s.

3. James K e n n e d y, Russel C. E b e r h a r t: *Swarm intelligence*. With Juhui S h i. San Diego: Academic Press 2001, 512 s.

Jacek Wojciechowski

Wpłynęło do redakcji 20 lipca 2001 r.

² *Umysł a maszyny*. Krytyka obliczeniowej teorii umysłu. Lublin 2000.